

GINNY MYERS SAIN

JESZCZE JEDEN ODDECH

A woman is shown swimming underwater in a blue-green environment. She is wearing a light-colored, possibly white, dress or long-sleeved top. Her hair is long and appears to be flowing in the water. The background is filled with bubbles and light rays filtering through the water, creating a mysterious and ethereal atmosphere.

W GŁĘBINACH KRYJĄ SIĘ
NAJMROCZNIEJSZE SEKRETY

PRZEŁOŻYŁA PATRYCJA POKORA

Young

GINNY MYERS SAIN

JESZCZE
JEDEN
ODDECH

PRZEŁOŻYŁA
Patrycja Pokora

Young

TYTUŁ ORYGINAŁU:

One Last Breath

Redaktorka prowadząca: Marta Budnik

Wydawcy: Olga Gorczyca-Popławska

Redakcja: Magdalena Wołoszyn-Cępa

Korekta: Kinga Dąbrowicz

Grafika na stronach rozdziałowych: © Thomas / Stock.Adobe.com

Projekt okładki: Wojciech Bryda

Zdjęcie na okładce: © Glebstock / Stock.Adobe.com

Wyklejka: © Gary / Stock.Adobe.com

DTP: Maciej Grycz

Copyright © 2024 by Ginny Myers Sain

Copyright © 2025 for the Polish edition by Young an imprint
of Wydawnictwo Kobiectwo Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Copyright © for the Polish translation by Patrycja Pokora, 2025

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2025

ISBN 978-83-8417-130-1

Grupa Wydawnictwo Kobiectwo | www.WydawnictwoKobiectwo.pl



JEDEN

Zwykle budzi mnie cichy odgłos noża. Dźwięk, który wydaje, przecinając płótno. Jest jak szept. Przekręcam się, żeby zapytać Celeste, co takiego powiedziała, ale ona nie może mi odpowiedzieć, bo jest już martwa. Cała we krwi, z otwartymi oczami.

Więc uciekam.

Innym razem, kiedy w mojej wyobraźni jestem Bailey, to szelest liści albo trzask gałązki sprawiają, że podrywam się i siadam w śpiworze.

Wpatruję się w ciemność, nie zdając sobie sprawy z faktu, że resztę mojego życia można zmierzyć w minutach.

Ale nawet w moich snach ta noc zawsze kończy się w ten sam sposób – jestem martwa. Unoszę się na powierzchni źródła. Wtapiam się w ciemność, rozsypane włosy unoszą się wokół mnie w morzu krwi i nigdy nie dowiem się, że Celeste i ja zostaliśmy najśłynniejszymi mieszkankami Mount Orange na Florydzie.

I wtedy się budzę. Biorę głęboki oddech, dociera do mnie szum klimatyzacji. Liczę stare świecące w ciemności gwiazdki na suficie mojego pokoju i czuję na skórze miękkość czystej pościeli.

Wdycham zapach świeżego górskiego powietrza z pływu do płukania tkanin, którego używa moja matka; żadna z nas nigdy nie widziała gór na żywo. Za każdym razem ogarnia mnie przyływ ulgi. Bo nie jestem Bailey.

Nie jestem też Celeste. Jestem Trulee.

I zamiast wykrwawiać się w wodzie, stoję teraz na trawniku pod budynkiem sądu, a chór z liceum śpiewa pieśń żałobną dla dwóch zmarłych dawno dziewczyn, które zawsze wydawały mi się bardziej żywe niż którakolwiek ze stojących tutaj i pocących się w późnomajowym upale osób.

Mrużę oczy i patrzę w niebo. Cały ten gładki, nieskończony błękit przywodzi mi na myśl powierzchnię słodkowodnych źródeł, które znajdują się tuż za granicami miasta. To idealny dzień na nurkowanie w Hidden Glen, ale czułam, że muszę być tutaj. Zgaduję, że wszyscy inni mieli tak samo.

Centrum Mount Orange to trzy przecznice, przy których mieszczą się zakłady ubezpieczeniowe, biura pośrednictwa nieruchomości i cztery lub pięć sklepów z tandetą, które udają „butik z antykami”. Poza pomnikami Bailey i Celeste rozsianymi po całym mieście i dawnym miejscem zbrodni przy Hidden Glen Springs, gdzie umarły, jedyne interesujące punkty to staromodna lodziarnia o nazwie „Pogoda na lodą” oraz salon piękności pod szyldem „Mordercze fale”. Przed każdym lokalem cień rzuca ciemnozielona markiza, a wzdłuż chodników stoją duże donice z paprociami i różowymi hibiskusami. Pewnie może się to wydać malownicze komuś, kto tu nie mieszka. Ale nie mnie.

Ocieram spocone czoło i zerkam w górę na flagę Florydy powiewającą nad budynkiem sądu.

Mój rodzinny stan słynie z czterech rzeczy:

Z aligatorów.

Plaź.

Parków rozrywki.

I z seryjnych morderców.

Mamy Teda Bundy'ego. Danny'ego Rollinga. Aileen Wuornos. I legendarnego Żniwiarza z Polan. On jest chyba najgorszy z nich wszystkich. Rzeczy, które zrobił, są tak makabryczne, że samo wspomnienie o nim wystarczy, by rozmowa natychmiast siadła. To prawdziwy wampir z Florydy.

Ale nie o nim myślę, stojąc w pięknym popołudniowym słońcu i próbując nabrać w płuca gęstego, wilgotnego powietrza, które konsystencją przypomina owsiankę.

Na niewielkiej scenie ustawionej na czele tłumu nasz znamienity burmistrz, Knox, rozwodzi się nad nową fontanną pamiątkową na miejskim rynku. Jemu również nie poświęcam teraz uwagi.

Myślami znowu jestem z Bailey i Celeste; z naszym własnym, miejscowym horrorem.

Już za kilka tygodni rocznica morderstw w Hidden Glen. Dokonano ich prawie dwadzieścia lat temu, ale to jasne, że nikt nie zapomniał o wydarzeniach tamtej nocy – wszyscy zebrali się tu, w tym piekielnym upale, by zobaczyć kolejny pomnik upamiętniający nasze zabite dziewczęta.

Kiedy byliśmy mali, moi koledzy i ja udawaliśmy, że jesteśmy nimi. Nie rozumieliśmy, że są martwe. Zamordowane. Wiedzieliśmy tylko, że są sławne, że ich zdjęcia wiszą oprawione na szkolnych ścianach, a ich nazwiska znajdują się na tablicach porozmieszczanych po całym mieście.

Kiedy już do nas dotarła ta makabryczna prawda, znaleźliśmy sobie inne zabawy. Ja jednak nigdy nie przestałam się fascynować Bailey i Celeste.

Zwłaszcza Bailey.

Kiedy odtwarzam w głowie te morderstwa, zawsze odgrywam jej rolę. To jej oczami obserwuję, jak wszystko się dzieje. Jej panika wzbiera w mojej piersi. To jej ostatnie chwile przeżywam w głowie ciągle na nowo.

Przyglądam się tłumowi. Przyszło tu dziś wielu fanów true crime. Co najmniej dwieście osób, autorzy podcastów i książek. Do tego ich fani, upiorni entuzjaści morderstw, którzy przemierzają kraj, odwiedzając piękne miasta, w których wydarzyły się okropne rzeczy. To czubki, których grzeje zabawa w detektywa i przekopywanie się przez wskazówki na forach internetowych. Jest ich o wiele więcej, niż ktokolwiek normalny mógłby pomyśleć. Dlatego potrzebujemy kolejnego pomnika. Bo kolejki do tych pięciu, które już tu stoją, robią się zbyt długie. Te sępy musiałyby poczekać kilka sekund, żeby cyknąć sobie selfie, i mogłyby się wkurzyć z tego powodu. A przecież nie możemy pozwolić na to, by nasi goście wyjechali z miasta niezadowoleni. Co by było, gdyby nie zostali na ciastko w lokalnej knajpie ani nie poszli do butików z antykami? Dla naszego miasteczka byłaby to prawdziwa tragedia.

Piorunuję wzrokiem kobietę, która właśnie stanęła tuż przede mną, zasłaniając mi widok. Nie powiedziała nawet nic w stylu „ups, przepraszam”. Jest zbyt zajęta wachlowaniem się kapeluszem, podczas gdy pot przesiąka przez jej elegancką jedwabną bluzkę. Nie jest stąd. Wiem to, bo ludzie z zewnątrz zawsze ubierają się zbyt formalnie. Najpopularniejszy strój w Mount Orange to szorty i kostium kąpielowy, połączone z kłapkami. Jeśli włożysz na siebie coś innego, będziesz odstawać.

Na dzisiejszym wydarzeniu pojawili się nie tylko turyści – przyszło też wielu mieszkańców. Macham do jakiejś dziewczyny, którą znam ze szkoły. I do pani, która podcina mi włosy. Moje oczy

jednak dalej przeczesują tłum, aż w końcu znajdują mamę Celeste. Opuściła kilka ostatnich uroczystości rocznicowych, ale dziś stoi tu, z boku, wpatrując się w okna sądu. Kiedy burmistrz wymienia ją na głos, przez tłum przechodzi uprzejmy aplauz dla matki ofiary zabójstwa. Jej ramiona napinają się, ale wyraz twarzy się nie zmienia. Nie patrzy na nic innego, utrzymuje wzrok na tych pustych oknach drugiego piętra.

Knox wydziera się teraz ze sceny. W ten niedzielny skwar wcieła się najlepiej, jak potrafi, w rozemocjonowanego kaznodzieję z Południa.

– Ta zagadka zostanie rozwiązana – obiecuje nam z ręką wzniesioną ku niebu, jakby machał Biblią. – Winny zostanie ukarany! Ktoś wie, kto to zrobił. A żadna tajemnica nie jest wieczna. Morderca jest czyimś synem. Czyimś ojcem. Czyimś bratem. – Robi pauzę dla lepszego efektu. – Może nawet twoim.

Knox mruży oczy, patrząc na swoją uważną publiczność, a przez tłum przebiega cichy szmer. W tym miasteczku spekulowanie na temat morderstw w Hidden Glen jest popularną rozrywką, porównywalną do oglądania szkolnej drużyny futbolowej, która przegrywa rozgrywki za rozgrywkami. Po tylu latach nadal patrzemy po sobie z podejrzliwością, a szeptów unoszą się w wilgotnym powietrzu niczym krople wody. Kiedy stoimy za swoim sąsiadem w kolejce do warzywniaka czy banku, zawsze odzywa się w nas jakaś część, która zastanawia się: „Może to byłś ty?”. Ciągłe podejrzewanie, że ktoś, kto przytrzymuje dla nas drzwi, może być mordercą, zmienia człowieka – a jednak żadne z nas nie potrafi zrezygnować z tej zgadywanki. W końcu mamy tu, w Mount Orange, tylko trzy nierozwiązane morderstwa.

Celeste i Bailey.

I mojej siostry, Dani.

Większość ludzi uważa, że śmierć Dani była po prostu tragicznym wypadkiem, na którego punkcie nie warto się fiksować. W pewnym sensie przynosi mi to ulgę, bo dzięki temu miasto nie korzysta z możliwości zrobienia kasy na pamięci o niej. Zdjęcie ofiary wypadku nie przyciągnie tu turystów skłonnych do wydania pieniędzy na ciastko i pocztówki. Oznacza to też, że nie organizują dla niej upamiętniających ceremonii i nie budują złotych fontann, przez co czasem czuję, jakbym była jedyną osobą, która zauważa, że Dani już nie ma.

Chłodny wiatr łaskocze mnie w kark, jestem wdzięczna za tę niewielką ulgę od gorąca. Wszyscy w tłumie unoszą zaczerwienione twarze ku niebu, w poszukiwaniu chłodniejszego powietrza. Drzę, kiedy bryza przesuwają się po mojej gładkiej skórze, i przez ułamek sekundy wyczuwam czyjąś obecność tuż za mną. Obecność kogoś, kogo rozpoznałem po oddechu.

– East – mówię, wzdychając. – Wiem, że to ty. – Odwracam się, spodziewając się znaleźć swojego chłopaka, wyszczerzonego i gotowego, by mnie przytulić, mimo że temperatura wynosi jakieś pięćdziesiąt stopni, a moja koszulka jest mokra od potu.

Ale nikogo tu nie ma. A w każdym razie nikogo znajomego.

Burmistrz przesuwają do tyłu swój kowbojski kapelusz, odsłaniając kilka mokrych loków, które zwisają nad jego małutkimi oczami niczym rozgotowany makaron. Żółtym notatnikiem wachluje swoją czerwoną twarz, po czym kończy przemówienie tak samo jak zawsze – prośbą o informacje.

– Jeśli ktoś coś wie albo jeśli ma jakiegokolwiek wskazówki, choćby niewielkie, proszę o kontakt – grzmi na nas, a moja ręka natychmiast przesuwają się, by zakryć zapinaną na suwak kieszonkę mojego plecaka, zupełnie jakby małe, paciorkowate oczy Knoxa miały w sobie rentgen. – Być może ktoś z was posiada klucz do

rozwiązania zagadki tych morderstw i może w końcu przywrócić spokój naszej społeczności.

Ton, w który uderzają jego słowa, wydaje się adekwatnie ponury, zwłaszcza jeśli nie zwróci się uwagi na to, że brzmi naprawdę fałszywie i że Knox jest skupiony głównie na tym, by redaktor naszej lokalnej gazety, Jon Boy Westley, mógł mu zrobić sporo dobrych zdjęć na okładkę przyszłotygodniowego wydania.

Jon Boy jest moim sąsiadem, a do tego dorabiam latem w jego gazecie, „Mount Orange Star”. Cieszę się, że mam dziś wolne popołudnie – w przeciwnym razie to ja mogłabym zgrzytać teraz zębami, podczas gdy Knox machałby, żebyśmy zrobiła mu zdjęcie z bliska.

Kiedy jest już po wszystkim, ja również podchodzę do nowej fontanny. Kobieta w przepoconej jedwabnej bluzce nachyla się nade mną, żeby zrobić sobie selfie, i nie mogę powstrzymać się od śmiechu, kiedy poślizguje się i telefon wpada jej do wody. Zanim pójdę dalej, zatrzymuję się na chwilę i przesuwam palcami po literach na złotej tabliczce.

MIEJSCE POŚWIĘCONE PAMIĘCI
BAILEY ALDERSON I CELESTE WOODWARD,
ZAMORDOWANYCH DZIEWCZĄT Z MOUNT ORANGE,
W DWUDZIESTĄ ROCZNICĘ ICH ŚMIERCI

Mimo że większość z nich nawet nie rozpoznałaby nazwiska Dani, muszę zwalczyć pokusę, by przypominać ludziom wokół mnie, że w Mount Orange mamy więcej niż dwie zabite dziewczyny. Zamiast tego przyglądam się, jak rozplywający się z gorąca turyści dryfują w stronę Pogody na loda.

Rozpaczliwie potrzebuję klimatyzacji, więc przedzieram się przez tłum do swojego trucka. Kiedy sięgam do klamki, czuję to

ponownie – jakby delikatny oddech na mojej szyi. Ktoś, kogo prawie rozpoznaję, stoi tuż za mną. Powietrze przesuwają się po mojej skórze jak dotyk znajomych palców, aż czuję na ciele gęsią skórę. Znowu przeszukuję wzrokiem tłum w poszukiwaniu Easta albo może mojej mamy czy Jona Boya, ale nie ma ich tu. Tym razem dostrzegam tylko mignięcie krótkich kruczoczarnych włosów znikających za rogiem apteki.

Nikt, kogo znam, nie ma takich włosów, więc odwracam się w stronę swojego auta. Właśnie wtedy zauważam, że matka Celeste opuszcza swoje miejsce i zmierza do fontanny. Pewnie czekała, aż tłum się rozpiezchnie. Teraz stoi tam sama. Zatrzymuję się przy otwartych drzwiach trucka i obserwuję, jak przystaje na kilka sekund, by przesunąć dłonią po wygrawerowanej tabliczce. Dokładnie tak, jak ja.

Podnosi wzrok i przyłapuje mnie na gapieniu się. Jej oczy są utkwione we mnie, przez co czuję dyskomfort. Obserwowałam ją, odkąd byłam małą dziewczynką, zawsze sprawdzając, czy nie mignie mi gdzieś w ogrodzie, kiedy po drodze do szkoły przejeżdżaliśmy obok jej domu, lub, gdy już podrosłam, szukając wzrokiem jej wyblakłych, jasnych włosów, kiedy ktoś pośpiesznie mijał okna redakcji.

Nie podoba mi się jednak myśl, że i ona obserwuje mnie.

Mogę myśleć teraz tylko o tym, że nie ma pojęcia, jak często budzę się cała w strachu o jej córkę, bo w moich snach zawsze jestem Bailey i zawsze nawołuję w nich Celeste.

Ładuję się do trucka i odpalam klimatyzację, po czym pochylałam się nad nawiewem i pozwalałam, by chłodne powietrze całowało moje ogorzałe policzki. Czekaając, aż korek trochę się rozładuje, poświęcam kilka sekund na wysłanie wiadomości do Easta.

„Hej, kochanie! Jesteś w centrum na ceremonii?”

Jego odpowiedź przychodzi natychmiast.

„Nie. Czekam u ciebie. Pomyślałem, że może chciałabyś schłodzić się razem. Albo może trochę rozgrzać...”

Na końcu ostatniej linijki dodał cztery emotki buziaków, neonowozielonego pingwina i błękitną falę oceanu, mimo że jesteśmy godzinę drogi od najbliższej plaży. „Już lecę”, odpisuję i odpręgam się trochę, wrzucając wsteczny i ruszając z powrotem na Main Street. East zawsze tak na mnie działa. Jest źródłem natychmiastowego spokoju i komfortu, jak wsunięcie się w stary T-shirt, który zmiękł od częstego noszenia, albo jak trafienie na swoją ulubioną piosenkę leącą właśnie w radiu. Przyjaźnimy się od czwartego roku życia, a wszyscy powtarzali nam zawsze, że w końcu zostaniemy parą. Wychodzi na to, że tak się właśnie stało.

Wyjeżdżając z miasteczka, mijam cmentarz. Grupa ludzi zebrała się wokół małego grobu położonego na uboczu. Tuż pod skalną ścianą. W pierwszej chwili myślę, że może odbywa się tu właśnie pogrzeb, ale po chwili dociera do mnie, do kogo należy ten grób.

Do Celeste.

Bailey została pochowana nieopodal Tallahassee, skąd pochodzi rodzina jej matki. Miejsce spoczynku Celeste znajduje się jednak tutaj, w Mount Orange.

Zaciskam dłoń na kierownicy, gdy gniew wzbiera mi w żołądku i przemieszcza się szybko do piersi, gdzie osiada niczym rozżarzony węgiel. True crime’owe sępy wtargnęły na cmentarz. Zwalniam, żeby móc ich poobserwować, kiedy przepychają się, by zyskać szansę na zrobienie zdjęcia. W końcu dlaczego mieliby poprzestawać na pozowaniu do selfie przy fontannie, skoro można zaprezentować swój najlepszy uśmiech nad grobem prawdziwej ofiary morderstwa.

Nie jestem pewna, dlaczego tak bardzo mnie to drażni. Wiem jedynie, że czuję teraz nagłą potrzebę opuszczenia szyby

i krzyknienia do nich czegoś okropnego. Chociaż nie mam pojęcia, co miałyby to być. Zaciskam więc zęby i jadę dalej.

Kiedy docieram do domu, zastaję Easta siedzącego na werandzie. Macha do mnie, gdy wysiadam z wozu i zostawiam za sobą chłód kabiny. Popołudniowy upał ponownie wchłania mnie i połyka, jak jakiś leniwy potwór. W momencie, kiedy docieram do schodów, jestem już cała pokryta potem ciekącym mi po szyi małymi strumykami. Nawet nie próbuję go wytrzeć.

Siadam przy Eaście, a on wyciąga rękę i odgarnia mi z czoła wilgotne włosy – kosmyki nitkowatej czerwieni – gdy ja pochylam się, by go pocałować. Jego usta są miękkie. Falowana, jasna czupryna błyszczą w słońcu. Zaciągam się jego wonią; zapachem szamponu o aromacie mango i kokosowego kremu do opalania. Pachnie jak sałatka owocowa. Małe niebieskie żagłówki na jego kąpielówkach wywołują uśmiech na mojej twarzy, kiedy obrysowuję palcem jedną z nich.

Chłopak się szczerzy.

– Uważaj sobie, panienko – drażni się ze mną.

– Szukałam cię na odsłonięciu fontanny – mówię, a on wzdycha przeciągle.

– No – odpowiada. – Chciałem iść, ale musiałem pracować. – Posyła mi lekko zawstydzony uśmiech, jakby właśnie przyłapano go na podjadaniu ciastek przed obiadem. – A potem Paz i ja poszliśmy ponurkować przy Studni. – Odgarnia włosy z oczu, a ja staram się zwalczyć zazdrość.

Całe popołudnie myślałam o freedivingu. Pragnę zimnej, czystej wody Hidden Glen Springs tak samo, jak nasz stary pies pragnął bekonu. To nieustający głód, który dźwięczy mi cicho pod skórą przez cały czas, kiedy jestem przytomna. Nawet w snach częściej znajduję się pod powierzchnią niż nad nią.

W tej chwili potrzebuję tego bardziej niż zwykle. Aż mnie świerzbi, by wsunąć się w ten głęboki błękit i zmyć z ciała upał tego dnia.

Żeby się przekonać, jak głęboko muszę się zanurzyć, by zapomnieć o uśmiechniętych turystach na cmentarzu.

– Poza tym – dodaje East – nie byłem w nastroju na spotkanie z Knoxem. Zwłaszcza po ostatnim weekendzie.

Nasz obdarzony czerwoną twarzą i kowbojskim kapeluszem burmistrz jest wujem Easta, ale nie łączy ich żadna szczególna więź.

– A co się stało w ostatni weekend? – pytam. Knox wdaje się w tyle szemranych akcji, że East praktycznie przestał mi o tym opowiadać, chyba że chodzi o coś naprawdę dużego.

– Nic nowego. – Chłopak wzrusza ramionami. – Zalał się w trupa, kiedy był u babci, po czym rozbił okno w salonie.

– Jezu – mamrocze. To by było na tyle, jeśli chodzi o godność naszego dostojnego burmistrza. – Co go tak wnerwiło?

– Kto wie? – kręci głową East. – Wiesz jaki jest, kiedy sięga po butelkę. Robi się wredniejszy niż szerszeń z bolącą głową. Może babcia nie upiekła mu jego ulubionego ciasta na niedzielę. – Przerywa na chwilę, zaciskając szczęki. – W każdym razie to mnie musiała wezwać, żebym posprzątał ten bałagan. Stała tam, płacząc i załamując ręce, a on tak po prostu poszedł sobie porobić coś na podwórku.

– Przykro mi, kochanie – mówię, przeczesując dłonią jego piękne jasne włosy.

Chłopak znowu tylko wzrusza ramionami. Wybryki wuja nie są dla niego żadną niespodzianką.

– Nie no, co ty – mruczy, sięgając po kolejny pocałunek. – To mnie jest przykro, że poszedłem nurkować bez ciebie. – Szczerzy się. – Co ty na to, żebym ci to wynagrodził?

Rozkoszuję się dotykiem jego ust przyciśniętych do moich. Jego palcami wplecionymi w moje włosy. Nasz związek jest

taki przyjemny, sprawia wrażenie gładkiego niczym wyslizgane, drewniane schodki prowadzące na werandę. Bez nierówności i zadr.

– Pomyślałem, że może moglibyśmy wpaść na chwilę do Hidden Glen przed wieczorem.

– Chciałabym – odpowiadam – ale jem kolację z tatą. – Nie jestem w stanie powstrzymać przewrócenia oczami.

East marszczy brwi.

– Co on tu robi? – Zna mojego gównianego ojca od zawsze i nie ma o nim ani trochę lepszego zdania niż ja.

– Przyjedzie tu w drodze powrotnej do Miami.

– Kurde, szkoda. W takim razie może jutro wieczorem. – East dotyka mnie nosem i przystawia usta do mojej szyi. – Tęskniłem za tobą – szepcze mi w obojczyk. – Przykro mi, że nie dałem rady przyjść na uroczystość. – Jego głos jest niski i chropowaty. Sprawia wrażenie miękkiego i gęstego jak dziki miód Florydy.

Jest mi strasznie gorąco. Cała się lepię. Walczę z ochotą odsunięcia się, żeby wpuścić między nas trochę powietrza. Myślę tylko o tym, jak bardzo chciałabym teraz znaleźć się w wodzie. W wodach źródeł Hidden Glen. I przez to moje myśli znowu wędrują do Bailey i Celeste.

Do ich śmierci tam, wśród drzew.

– A co, jeśli zabójca był tam dzisiaj? – pytam. To coś, co chodzi mi po głowie, odkąd tylko stanęłam na wypakowanym po brzegi rynku. East odsuwa się, żeby na mnie spojrzeć. – Tam, pod sądem. W tłumie. I oglądał to przedstawienie.

Chłopak tylko wzrusza ramionami.

– No co? – dodaję. – Nie zastanawiasz się już nad takimi rzeczami? – Szturcham go łokciem pod żebra. – Myślałam, że moglibyśmy trochę powęszyć w okolicy kempingu jutro po pracy.

Kiedy byliśmy dziećmi, East i ja cały czas szukaliśmy jakichś wskazówek na miejscu morderstwa. Spędzaliśmy poranki, przetrząsając zarośla i próbując znaleźć cokolwiek, co doprowadziłoby nas do odkrycia tożsamości mordercy. Potem spędzaliśmy resztę popołudnia w wodzie, ochlapując się nawzajem, objijając się i ćwicząc wstrzymywanie oddechu pod wodą z Dilem.

– Sam nie wiem. – Chłopak pociera zarost na brodzie, przez co nabieram ochoty na złożenie kilku małych całusów wzdłuż linii jego zuchwy. – To już prawie dwadzieścia lat, Tru. Cały ten kwas miał miejsce, zanim się w ogóle urodziliśmy. A przecież spędziliśmy na szukaniu masę czasu. Już czas to sobie odpuścić.

Teraz moja kolej na wzruszenie ramionami, ale nie patrzę mu przy tym w oczy.

– Brzmisz jak twoja mama – rzucam. Jego rodzina nie lubi wracać myślami do tego, co wydarzyło się tamtej nocy. Knox był jednym z pierwszych podejrzanych, ale oczyszczono go z zarzutów.

A teraz jest burmistrzem.

– Zawsze kiedy idziemy tam szperać, jedyne, z czym wracamy, to pogryzienia i zadrapania. – East wyciąga rękę i dotyka mojego policzka. – Nigdy nic tam nie znajdziesz.

– Nigdy nie mów „nigdy” – drażnię się z nim i sięgam po swój plecak, po czym odpinam boczną kieszeń i przesuwam palcami po sekretnym skarbie, który w niej ukrywam.

Oboje podskakujemy na nagły dźwięk klaksonu, po którym ostrożnie zasuwam kieszonkę plecaka, bo to, co w niej trzymam, jest naprawdę malutkie. Łatwo to zgubić.

– Hej, gołąbeczki! Chcecie wpaść do nas na kolację? – Najlepszy przyjaciel Easta, Paz, zatrzymuje się na podjeździe i wystawia głowę przez okno pasażera, szczerząc się w naszym kierunku. – Mama gotuje, będzie ropa wieja!

Natychmiast czuję, jak napływa mi ślina. Mama Paza jest Kubanką i najwspanialszą kucharką. W sensie moja mama gotuje nieźle, ale jej zdaniem pizza pepperoni jest bardzo pikantna. Zresztą i tak od kilku lat coraz częściej jemy obiady z mikrofali.

East od razu się zgadza, ale ja odpowiadam, że nie mogę, bo mam w planach kolację z tatą. Znowu czuję rozdrażnienie na myśl o moim ojcu. Dobrze wiem, że posiłek z rodziną Paza byłby dużo przyjemniejszy. Poza tym tata i tak pewnie mnie wystawi. Zwykle to robi.

Przed odjazdem East przyciąga mnie do pożegnalnego pocałunku.

– *I love you truly. Truly, dear**. – W połowie mruczy, a w połowie śpiewa mi tę starą piosenkę do ucha, jakby dzielił się ze mną sekretem, a całe moje ciało pokrywa się gęsią skórką. Usłyszeliśmy ten kawałek wiele lat temu, na płycie Binga Crosby’ego u jego babci, i od tego momentu jest to nasza piosenka.

Słyszę ponagląjące kasznięcie i spoglądam na Paza, który ciągle wychyla się przez okno samochodu i robi całusne miny niczym przerośnięty drugoklasista.

– Lepiej będę się zwił – mówi East, obiecując, że potem do mnie napisze. – Może i mama Paza gotuje lepiej – drażni się ze mną – ale z pewnością ty lepiej całujesz.

Prycham. Chłopak ładuje się do swojego trucka, unosi dłoń i macha do mnie leniwie. Potem odjeżdża tuż za Pazem, a ja obserwuję, jak znikają w kłębach kurzu.

Wchodzę do naszego małego salonu, po czym kieruję się prosto w stronę schodów. Staram się nie nawiązywać kontaktu wzrokowego z dwiema dziewczynami na wielkim zdjęciu wiszącym na ścianie tuż nad telewizorem.

* Gra słów: tytułowa fraza piosenki wykonywanej przez Binga Crosby’ego „I love you truly” (kocham cię szczerze) brzmi jak imię dziewczyny, Trulee.

To ja i moja starsza siostra, Dani.

Kiedy docieram do bezpiecznego azylu mojego pokoju, rozpinam plecak i ostrożnie wyjmuję to, co ukryłam w bocznej kieszeni z suwakiem: stary medalik przyjaźni na zerwanym łańcuszku. Trzymam go w dłoni, czując ciężar wszystkich pytań, na które z pewnością zna odpowiedź, i po raz tysięczny pragnę, by sekrety, które skrywa, przeniknęły prosto do mojej skóry.

Wiem, że ten naszyjnik należał do Bailey, bo miała go na sobie na zdjęciu, które pojawiało się we wszystkich artykułach ukazujących się w prasie zaraz po morderstwach.

Na innych zdjęciach widać, że druga połowa medalika pobłyskuje na szyi Celeste.

Znalazłam go parę lat temu. Połówka serca, prawie zupełnie zakopana w piaszczystej ziemi na skraju Studni, właśnie w Hidden Glen Springs. Powinam była przekazać go szeryfowi, zdaję sobie z tego sprawę. Ale kiedy tylko go dotknęłam, wiedziałam, że jest mi pisany. Jeszcze zanim go odwróciłam, jakimś cudem wiedziałam o wygrawerowanej z tyłu literze B, mimo że nie widziałam nigdy, by ktoś o tym wspominał. Biorę naszyjnik i kładę się na łóżku, pozwalając, by klimatyzacja objęła mnie niczym chłodna, czysta źródłana woda. Jestem wyczerpana od stania w upale tak długo, a tata ma po mnie podjechać za godzinę.

Nie planuję pozwalać, by oczy mi się zamknęły, a jednak mijają prawie dwie godziny, zanim budzi mnie dźwięk przychodzącego SMS-a.

„Przepraszam, kochanie. Problem z samochodem. Następnym razem, dobrze?”

Mógłby przynajmniej wymyślić jakąś interesującą wymówkę.

Mam jeszcze kilka nieprzeczytanych wiadomości od Easta, więc mu odpisuję. Jest też jedna od mamy:

„Wrócę późno.”

Jest ciemno, więc postanawiam iść już spać. Przebieram się w czystą koszulkę i wczolguję się pod pościel, po czym zamykam oczy i próbuję ponownie osunąć się w ciemność mojej sypialni. Wyobrażam sobie, że nurkuję. Spokojna i skoncentrowana. Wolna. Unosząc się w nieskończonej głębi.

Ale ciągle słyszę jakiś dźwięk. Świst, ledwo słyszalny spod głośnego szumu klimatyzatora i szczekania psa naszych sąsiadów. Dźwięk, który brzmi jak szept.

Albo jak nóż rozcinający materiał.

Zanim jestem w stanie rozgryźć, co to może być, zapadam w sen ze skarbem martwej dziewczyny zamkniętym w zaciśniętej pięści.



Sięgnij
po więcej!



 wydawnictwokobiece.pl

 Wydawnictwo Young

 [wydawnictwoyoung](https://www.instagram.com/wydawnictwoyoung)

 [wydawnictwoyoung](https://www.tiktok.com/@wydawnictwoyoung)

 Young